Nr. 6. We Lwowie, czerwiec, 1923. Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki W czerwcu wolno polować na rogacze. Na ptactwo wodne od 15-tego.

Do członków! Wkładka członkoska M. T. Ł. na II-gi kwartał r. 1923 wynosi 8.000 Mkp.

Cena pojedynczego egzemplarza 3.500 Mk. — Prenumerata na II-gi kwartał r. 1923 — 9.000 Mk.
Ceny ogłoszeń: cała strona 400.000 Mk, 1/2 str. 200.000 Mk, 1/4 str. 100.000 Mk. 1/8 str. 50.000 Mk, 1/16 str. 25.000 Mk, 1/32 str. 15.000 Mk. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Mickiewicza l. 6. w podwórzu (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Adres telegramów: „Łowiec", Mickiewicza 6. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

XXII. ZJAZD ŁOWIECKI

ODBĘDZIE SIĘ W DNIACH 15-GO I 16-GO CZERWCA 1923 WE LWOWIE, A MIANOWICIE DNIA PIERWSZEGO O GODZ. 10. W SALI TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO PRZY UL. KOPERNIKA L. 4, ODBĘDZIE SIĘ

WALNE ZGROMADZENIE,

DRUGIEGO ZAŚ DNIA NA STRZELNICY WOJSK. ROZPOCZNIE SIĘ O GODZ. 10-TEJ

POPISOWE STRZELANIE.

REGULAMIN POPIS. STRZELANIA PODAJEMY PONIŻEJ. STOSUJĄC SIĘ DO ŻYCZENIA WIELU NASZYCH CZŁONKÓW, WPROWADZILIŚMY STRZELANIE DLA MŁODZIEŻY DO LAT 18-TU. SĄDZIMY, ŻE NOWOŚĆ TA BĘDZIE WIELKĄ ATRAKCJĄ DLA ADEPTÓW MYŚLISTWA A NA PRZYSZŁOŚĆ DLA NICH JEDNYM Z POWAŻNYCH ŚRODKÓW DO OSIĄGNIĘCIA DOSKONAŁOŚCI W SZTUCE STRZELANIA.

NIECH TO DOROCZNE ŚWIĘTO NASZE ZGROMADZI ZNÓW W DNIACH ZJAZDU POWAŻNY ZASTĘP NASZYCH PRACOWNIKÓW! NIECH UMIŁOWANIE ŁOWIECTWA ZJEDNOCZY NAS WSZYSTKICH W JEDNO CIAŁO, W JEDNĄ MYŚL, W JEDNO HASŁO: W GÓRĘ NASZ UKOCHANY SZTANDAR ZIELONY! CZEŚĆ ŚW. HUBERTOWI PO WSZYSTKIE WIEKI!

NIECH NIKOGO Z DELEGATÓW i CZŁONKÓW NASZYCH NIE BRAKNIE TAK W SALI OBRAD, JAK I NA STRZELNICY, NIECH ZJAZD NASZ BĘDZIE ŚWIADECTWEM ZDROWIA I ŻYWOTNOŚCI NASZEGO TOWARZYSTWA

Porządek obrad Walnego Zgromadzenia

członków M. T. Ł., zwołanego na dzień 15. czerwca 1923,

godzina 10-ta rano, w sali Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego — ulica Kopernika l. 4.

1. Zagajenie obrad.
2. Odczytanie protokołu z ostatniego Walnego Zgromadzenia.
3. Sprawozdanie z czynności Wydziału za r. 1922/23.*)
4. Sprawozdanie Komisji rewizyjnej o zamknięciu rachunków.
5. Omówienie spraw finansowych Towarzystwa na rok 1923/24.
6. Wybory uzupełniające (t. j. wybór Prezydjum Towarzystwa na trzy lata, tudzież wybór $^1/_8$ części członków Wydziału i zastępców) i wybór Komisji rewizyjnej.
7. Wnioski i interpelacje.

*) Sprawozdania z czynności Wydziału w „Łowcu“ nie umieszczamy, zostanie ono na Walnem Zgromadzeniu ustnie przedstawione i do protokołu wciągnięte.

„ARMA“ (lwowskie warsztaty broni)

prosi nas o zamieszczenie następującego komunikatu:

Stosując się do życzeń szerokich kół naszej klijenteli, powierzyliśmy kierownictwo rusznikarni myśliwskiej panu Ryszardowi Sartori, byłemu kierownikowi warsztatów galicyjskiej Spółki myśliwskiej we Lwowie.

Zarząd.

W obronie poznańskiego zwierzyńca.

(Czytelnikom naszym zwracamy uwagę na poniżej umieszczony artykuł. Myśl jego popieramy usilnie. Ogół myśliwski w Małopolsce powinien też przyjść z wydatną pomocą, aby utrzymać ten cenny dorobek kulturalny, jakim jest jedyny ogród zoologiczny w Polsce, w Poznaniu. Datki na ten cel przyjmuje Polski Związek Myśliwych w Poznaniu) Red.

W numerze majowym „Łowca“ podpisany literami S. B. znajduje się artykuł mocno krzywdzący poznański zwierzyniec, na który niżej podpisany z obowiązku, jaki przyjął „Polski Związek Myśliwych“ opiekowania się jedynym polskim zoologicznym ogrodem, czuję się spowodowany do obrony i do dania następującej odpowiedzi:

Ustęp ten z artykułu „W obronie żubrów“ jest następujący:

„Przejeżdżając we wrześniu zeszłego roku przez Poznań, wstąpiłem do ogrodu zoologicznego. Ze zwierząt krajowych, które mnie najwięcej interesują, są tam trzy żubry, kilka niedźwiedzi, dzików, wilków, jeleni, sarn, te ostatnie nawet tam się mnożą. Oprócz tych zwierząt jest wiele innych, jak: wielbłądy, słonie, lwy, bawoły, małpy, słowem, cała menażerja. Wszystkie te zwierzęta są w tak ciasnych klatkach lub ogrodzeniach, że n. p. żubry ledwie się w nich obracać mogą. Czyż to nie jest jedną ogromną męczarnią dla tych zwierząt? Czy Polska nie może założyć taki zwierzyniec, w którymby najwięcej były reprezentowane zwierzęta naszych pól i naszych przepięknych kniei, i aby te zwierzęta znalazły tam tesame warunki, w jakich żyją w przyrodzie, chociażby to było tylko w miniaturze. Zwierz osadzony w klatce, czy też w jakimś małym ogrodzie, nie daje ani połowy tego uroku, jaki go otacza na tle przyrody. Trzymanie zwierza w ciasnem, zamkniętem miejscu, jest barbarzyństwem“.

Autor powyższego, jak to widzimy z dalszej treści, w poczciwej zresztą intencji ratowania resztki pozostałych żubrów dla Białowieży, skutkiem nieznajomości rzeczy napisał sporo niewłaściwych twierdzeń i oskarżeń.

Przedewszystkiem, tak samo jak w Jaworzynie i w poznańskim zwierzyńcu niema żubrów, lecz amerykańskie bizony. Żubrów z Białowieży. posiada oprócz parku księcia na Pszczynie (16 sztuk), zwierzyniec w Moskwie (8 sztuk) i berliński (7 sztuk). Zwierzęta znajdujące się w ogrodzie zoologicznym, skutkiem długiego pobytu w ogrodzeniu i zupełnem oswojeniu, nie nadają się do zwrócenia im wolności. Zmarniałyby bezzwłocznie dla braku paszy, lub zginęłyby z ręki kłusownika. Widzimy to najlepiej po chowanych po dworach kozłach, które zbiegłszy w czasie rui, następnie same się zbliżają do osad ludzkich.

Zwierzyńców, w którychby najwięcej było reprezentowanych „zwierząt naszych pól i kniei“ mamy z prywatnej inicjatywy powstałych wielką liczbę, szczególnie w b. dzielnicy pruskiej, niektóre mają kilka tysięcy mórg powierzchni, nie potrzeba więc ich zakładać. Nie licząc drobnego zwierza, chowają się tam i mnożą jelenie, daniele, dziki i sarny w wielkiej ilości.

Ogrody zoologiczne mają zupełnie inne zadanie.

„Piękne zwierzyńce mają wszystkie kulturalne państwa, bo te wpływają na większe umiłowanie krajowej przyrody, której zwierzyna stanowi jakoby okrasę“ — pisze p. S. B., bardzo słusznie, więc dlaczegoż ta niechęć i niesłuszna krytyka właśnie do własnego — do poznańskiego. Czy autor artykułu „W obronie żubrów“ widział już inne zagraniczne ogrody zoologiczne? W interesie jego dobrej woli należy o tem powątpiewać. W żadnym ogrodzie zoologicznym, zwierz niema więcej miejsca w ogrodzeniu i w klatce (bizony ca 500 kw. m. na sztukę) jak w poznańskim. Wprawdzie w hamburskim zwierzyńcu Hagenbecka ma się złudzenie, iż spacerujące tam lwy i tygrysy znajdują się na wolności, ale to sztuczne ugrupowanie skał stanowiących ogrodzenie nię przyczynia się w rzeczywistości do nadania im większej swobody ruchów jak w innych zwierzyńcach. Publiczność zwiedzająca ogród zoologiczny powinna zwierza widzieć w każdej chwili, a nie szukać go po kniei. Zwierzyńce, jakie projektuje p. S. B. są dla myśliwych hodowców, a nie dla wielkich miast, gdzie rodzice prowadzą swe dzieci, aby poznały i ukochały przyrodę.

Zwierzyna w ogrodzie zoologicznym czuje się tam zupełnie swobodnie, czego najlepszym dowodem, iż prawie wszystkie gatunki zwierząt ssących (a nie tylko sarny, jak twierdzi p. S. B.) się rozmnażają. W bieżącym tygodniu przybyły 3 piastuny i 1 bizon. Zwierzęta zaś nabyte pochodzą również z rodziców w innych zwierzyńcach urodzonych. Barbarzyństwem byłoby więc zwierzęta takie nie znając wolność, obdarzyć swobodą.

Zwierzyniec poznański jest dumą Wielkopolski, a powinien być — gdyby była dobra wola — i całej Rzeczypospolitej.

Dwa lata temu w pięćdziesiątą rocznicę jego istnienia ogłosiłem odezwę do wszystkich stanów, do całego społeczeństwa pod hasłem:

Ratujmy zwierzyniec poznański, jako jedną z kulturalnych spuścizn, którą odziedziczyliśmy po zaborcach, a którą, abyśmy nie potrzebowali się wstydzić wobec naszych przeciwników, nakazuje utrzymać nam honor narodowy.

„Ambicja nasza — pisaliśmy tam dosłownie — zniewolić nas powinna, ażeby zwierzyniec poznański nietylko istniał, wegetował, ale stał się chlubą Poznania i narodu polskiego, ażeby jego jubileusz powstania, który przypadł w pierwszym roku naszej traktatem wersalskim zapewnionej wolności, był znów rokiem odrodzenia jego dawnej świetności“.

I odezwa ta, dzięki znanej ofiarności i poczucia obowiązku obywatelskiego, znalazła wyraz w zwiększonej frekwencji odwiedzających, w obfitości nadesłanych darów w naturze i gotówce, które razem stanowiły wartość 10 ciu miljonów Mkp.

Pomoc ta spowodowała jego odrodzenie. Zredukowany do 243 sztuk w 75 gatunkach, osiągnął obecnie liczbę 386 sztuk w 102 gatunkach. Przybywają dwa wspaniałe lwy, dwa tygrysy, bizon amerykański, wielbłąd, para lamów i para kanguru, jedna łania, rogacz i trzy kozy egipskie, 22 małp w czterech gatunkach, pomiędzy temi 2 pawiany. Z ptactwa: dwa orły (sęp płowy i orzeł cesarski), dwie pary amazonek, 4 pary małych papug, dwa tukany i mnóstwo egzotycznych drobnych ptaków.

Zaniedbane i zrujnowane pawilony, budynki i ogrodzenia, dzięki bezinteresownej pomocy tutejszych architektów przyprowadzono do pierwotnego stanu. Ogród sam, starannością utrzymania, doborem ozdobniczych krzewów i kwiatów daje nam w porze letniej obraz rozkoszny i najprzyjemniejsze miejsce pobytu. A jest on nietylko takim dla wielkich, ale i dla małych obywateli poznańskich. Potrzeba tylko zajrzeć do małpiego pawilonu i przeżyć chwilę wśród tego tłumu dziatwy, aby się przekonać, jaka tam uciecha i szczęśliwość. Wogóle, czy można sobie znaleźć odpowiedniejsze miejsce wytchnienia po trudach dziennych pracy, duchowego odpoczynku, jak w tej starannie utrzymanej i kulturalnej naszej instytucji!

A więc jeszcze jeden wysiłek, jeszcze raz do dzieła!

Czem możemy i powinniśmy zwierzyńcowi naszemu dopomódz?

Przedewszystkiem rząd, przez odpowiednią stałą subwencję.

Obywatelstwo, miejscowe i zamiejscowe, przez przystępywanie do Towarzystwa ogrodu zoologicznego (karty wykupu w Banku Ziemstwa Kredytowego, Poznań, ulica Wjazdowa 11, za 10.000 Mkp., każdy dalszy członek ro-

dziny 1.000 Mkp.), a całe społeczeństwo przez odwiedzanie ogrodu i urządzanie tamże koncertów.

Instytucje naukowe, przez zwiedzanie całemi szkołami zwierzyńca, ku czemu poparcie władz, ułatwienie i zniżka biletów kolejowych są nieodzowne.

Rady miejskie, całej Rzeczypospolitej, przez udzielanie rocznej, chociażby małej subwencji. Jedna marka od mieszkańca wystarczałaby jako roczna zapomoga do utrzymania zwierzyńca.

Towarzystwa akcyjne, przez pamięć o zwierzyńcu naszym w dniach układania bilansów i rozdzielania zapomóg instytucjom społecznym.

Koła sportowe i towarzystwa, przez odbywanie zebrań i zabaw w salach i ubikacjach zwierzyńca.

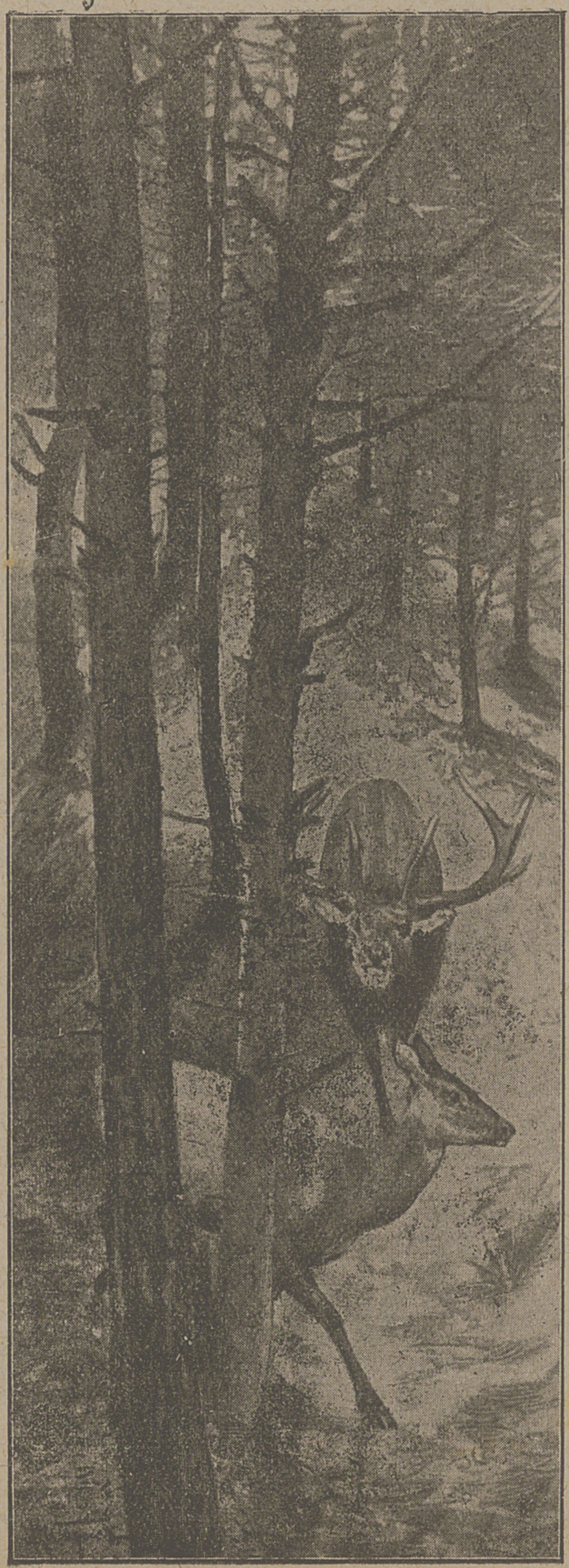
Ziemianie, przez nadsyłanie siana, słomy i okopowizn, oraz koni wybrakowanych na żer dla zwierząt.

Leśnicy i myśliwi, przez nadesłanie schwytanych okazów fauny naszej.

Niechaj każdy przy nadarzającej się sposobności myśli o podtrzymaniu zwierzyńca naszego, a całość sama się złoży“.

Pożądanem byłoby, ażeby na odezwę tę znalazła się z Małopolski, jeszcze inna odpowiedź, jak ta, którą ogłosił o zwierzyńcu poznańskim p. S. B. w „Łowcu“.

Za Polski Związek Myśliwych
Wł. Janta-Połczyński
Wielki Łowczy.



Wydry.

Strypa w powiecie zborowskim, ongiś dzieląca wojska polskie od hord muzułmańskich, w czasie wojny światowej bataljony austrjacko niemieckie od rosyjskich i znowu wojska tajemniczem zrządzeniem Nemezis dziejowej powstałą Polskę, od najeźdźców bolszewickich — przed wiekami płynąca jednem pasmem jezior i stawów — dziś ograniczyła swe wody do wąskiego koryta wijącego się kręto wzdłuż żyznych łąk, a za Zborowem pod Pohrebaczem, Cecową, Glinną i dalej tworzy trzęsawiska zarośnięte trzciną i tatarakiem, w porze letniej przepaściste i niedostępne nawet dla myśliwych i rybaków.

W pamiętny rok najazdu bolszewickiego, w mroźny dzień z końcem listopada, kiedy trzęsawiska spoił silny mróz w jedną równą płaszczyznę lodu, wybrałem się ze strzelbą na poszukiwanie ptactwa, które w tym czasie ciągnąc z północy, zapada na naszych wodach i często można się spotkać z rzadkimi u nas gośćmi rodu ptasiego.

Idąc ostrożnie po niepewnym jeszcze lodzie, zbliżyłem się do krzaku łoziny, rosnącego nad samym brzegiem koryta. Nagle słyszę szelest i w oczekiwaniu, że zając wyskoczy, zdziwiłem się niemało, usłyszawszy zamiast skoków szaraka sunącego po zeschłej trawie — plusk w wodzie i świst wydry. W miejscu tem koryto rzeki załamuje się, a płynąca woda nie dała się całkowicie skuć mrozom w okowy, tworząc mniejsze i większe oka, przez które przyglądała się światu bożemu.

Instynktownie, jakbym czuł czyjś wzrok na sobie, skierowałem głowę w prawo i widzę wydrę stojącą tuż nad brzegiem wody w odległości około 40 kroków. Wydra patrzy się na mnie i widocznie poirytowana, żem jej przerwał popołudniową drzemkę, wydaje z siebie charakterystyczny, gdy jest podrażniona, głos. Nie wiele się namyślając, w jednej chwili złożyłem się i strzeliłem. Po strzale zwinęła się i wskoczyła do wody. W niedługim czasie w oddaleniu kilkudziesięciu kroków od miejsca strzału, wyszła ociężale z wody na lód, odeszła kilka kroków, położyła się i już nie wstała.

Zaabsorbowany moją sąsiadką z prawej strony i sądząc, że jest to ta sama, którą słyszałem, nie uważałem, że tymczasem ta pierwsza naprzeciwko mnie za krzakiem, kąpie się i śwista dalej. Poszedłem, jak mogłem ostrożnie na kraj krzaku i widzę kręgi na wodzie spowodowane przez nurkującą wydrę, a za chwilę jej głowę. Niestety — zamiast zaczekać i cierpliwością zniewolić Djanę, żeby i ta druga zechciała swe wdzięki w całej pełni na brzeg wytoczyć, strzeliłem w widoczny jedynie na wodzie łeb i wydra z odległości kilkunastu kroków śmiertelnie trafiona, zatoczyła kilka młynków i zniknęła na zawsze pod wodą i lodem. Późniejsze próby poszukiwania żerdkami i hakami spełzły na niczem.

Ta, którą dostałem, była dużą samicą, wagi około 10 kg.

Tego rodzaju spotkanie z wyrośniętemi wydrami w biały dzień wobec ostrożności i czujności zwierzęcia trafia się zapewne i innym myśliwym nader rzadko. Sądzę, że z powodu raptownych silnych mrozów, wydry znalazły się jakby w pułapce, ograniczone do niewielkiej przestrzeni otwartej wody, a nie odważyły się na razie na ryzykowną wędrówkę pod lodem.

Niedługo potem, w mroźny wieczór grudniowy, coś, jak to mówią, skorciło, czy też podszept Djany zniewolił mnie do próbowania szczęścia przy księżycu.

Mróz, aż trzeszczy pod nogami; szczęściem, że wiatr nie dmie. Księżyc wpatrujący się w tajemniczą toń wodną zdaje się sięgać tak głęboko, jak sam jest wysoko. Skrząca się w jego blaskach biel śniegowa. Śpiące drzewa i krzewy. Zdala głosy stróżujących psów; zresztą cisza aż w uszach dźwięczy. Zdrętwiałość zamarłej, a przecież żyjącej natury.

Oto obrazek piękny, ale bardzo zimny otacza myśliwego w noc grudniową.

Zasadzka wprawdzie bardziej przystoi kłusownikowi, aniżeli myśliwemu, lecz kto chce wydrę zastrzelić, innym sposobem trudno przyjdzie do tego. Zresztą noc taka i oczekiwanie ma swój urok, a emocja przy zbliżaniu się zwierza, którego rzadko w dzień spostrzedz można, też jest wielka.

Zasiadłem tuż nad brzegiem niedużej przestrzeni wody, wolnej od lodowej pokrywy, niedaleko miejsca, na którem już przedtem kilkakrotnie zauważyłem tropy i ślady wydry wychodzącej na brzeg. Nie dłużej, jak w pół godziny, usłyszałem plusk w wodzie i kombinację sapania z parskaniem. Za chwilę wyłaniają się z wody na tle śniegu ciemne kontury, podobne w pierwszej chwili do kształtów foki. Nie strzelam dla zbytniej odległości, a tymczasem wydra raczy się złowioną rybą ciamkając przytem jak kot, gdy coś mięsistego pożera. Poczem chlusnęła w wodę, dała nurka i zniknęła. Za chwilę widzę znowu łeb na wodzie, zbliża się — przepływa w odległości kilkunastu kroków koło mnie — zawraca z powrotem — przepływa powtórnie i znika... Psiakrew! Nie mogła bestja była wyjść tu, gdzie zawsze wyłazi? Trzeba było jej w łeb strzelić! Choć lepiej, niech sobie zdrowa idzie, aniżeliby miała marnie przepaść.

Podczas tych moich pobożnych życzeń skierowanych pod adresem wydry, zadrżała w świetle księżyca powierzchnia wody tuż naprzeciwko mego stanowiska, rozchyliły się kręgi wodne i z toni wypłynął ciemny łeb z towarzyszeniem głosów sapiąco-prychających.

Tym razem cierpliwość była wynagrodzoną!

Wydra wygramoliwszy się na lód, nosem spuszczonym badała bezpieczeństwo terenu i nagle podniosła głowę, jakby coś podejrzanego spostrzegła. Zmierzyłem w przód i strzeliłem. Nie odejmując strzelby, byłem gotów za najmniejszym zwrotem wydry strzelić drugi raz, co było już niepotrzebnem, gdyż rozciągnięta leżała martwa na lodzie.

Był to bardzo ładny samiec, duży okaz, o ślicznem ciemno-kasztanowatem futerku, wagi około 12 kg.

W dwa dni później w tem samem miejscu, w podobnych okolicznościach, tylko nieco później w nocy, zastrzeliłem trzecią wydrę, już wiele mniejszą. Wydra o ile nie jest strzelona tak, że zostaje na miejscu, wskakuje zawsze do wody i jeśli trafiona śmiertelnie ma jeszcze dość sił, to wyjdzie w innem miejscu na brzeg, żeby tam skonać, w przeciwnym razie przepada pod lodem i wodą.

Nieraz później wybierałem się w różnych porach wieczora i nocy, przesiedziałem niejedną godzinę na mrozie i czasem widziałem płynącą albo na brzegu ucztującą wydrę, a jednak do strzału nie przyszedłem.

Mało jest myśliwych polujących na wydry, a przecież emocja i zdobycz to nie lada, warta więcej poświęcenia i trudów aniżeli zając, lis i rogacz ze słabemi rogami, a w każdym razie jest to zwierzyna o wiele rzadsza od nich i największy rabuś w hodowli ryb.

Cenne futro wydry, nie wiele ustępuje bobrowemu, zwłaszcza, że posiada pod długim włosem podobny puch i czy to jako ozdoba przy kurtce myśliwskiej, czy też w pokoju myśliwskim, staje się cenną pamiątką poniesionych trudów.

W Anglji i Niemczech hodują specjalną rasę psów (Otterhunde) do polowań na wydry, podczas których, zamiast bronią palną, posługują się oszczepami. U nas, gdzie mamy więcej stawów i rzek w dzikim stanie, aniżeli na zachodzie, tego rodzaju sport myśliwski miałby szerokie pole do popisu. Na razie dla braku psów odpowiednich musimy się ograniczyć do prymitywniejszych sposobów dobrania się do skórki wydrowej.

Nie mówiąc już o łowieniu wyder w żelaza, jako o sposobie nie mającym z myśliską emocją wiele wspólnego, prócz zasadzki w noc księżycową, często z dobrym skutkiem można wydrę zastrzelić, płynąc łodzią. Wczesną wiosną, gdy wody są wysokie i gdy trawy i szuwary nie zasłaniają samotnych kęp wystających z wody, w słoneczne południa wydra wygrzewa się na takich kępach do słońca i cicho się zachowując, można ją podpłynąć na bliski strzał, zwłaszcza z broni kulowej.

Obecnie posiadam młodą wydrę oswojoną. Nie znam bardziej miłego zwierzęcia od młodej wydry. Powiedziałbym, że jednoczy ona w sobie rysy kilku zwierząt różnych gatunków. W pierwszym rzędzie podobną jest do kuny, do której rodziny należy, często w ruchach przy zabawie przypomina młodego psa, kota i małpę, w chodzie borsuka i niedźwjadka, w wodzie podobną jest do foki i do dużego szczura wodnego, a błyskawiczne ruchy jej płaskiej, prawie bezusznej głowy i świdrujące ślepia, przypominają nawet głowę żmiji.

To wszystko razem nie przeszkadza, żeby była i dość przystojnem i nieraz pociesznem, a mało uciążliwem w domu stworzeniem. Oswojona jak pies i jak pies na spacerach przy nodze chodzi, a przywiązana i posłuszna na każde zawołanie głównie wtedy, gdy jest głodna. Zato, gdy jest czemś zajęta, lub najedzona wypoczywa, wtedy wołanie na nią równa się rzucaniu grochu o ścianę.

Jada mniej więcej wszystko to, co człowiek, nawet kwaszone ogórki i lubi bardzo owoce wszelkiego rodzaju.

Kupiłem ją, gdy miała około dwu miesięcy, od chłopa, który podczas kośby łąk nad Seretem natrafił na dwoje wydrząt i jedno z nich przeciął kosą, a to drugie dostało się później do mnie.

Słyszałem, że niektórzy chłopi, którym uda się młodą wydrę dostać, w ten kulturalny sposób dochodzą do futerka z wydry, że chowają ją do zimy i takie oswojone stworzenie zabijają, aby następnie sporządzić futerko naszym neutralnym.

Poznanie się wydry, która zwie się Boj, z psem legawym Osem było dość zabawne — podobne, jak w opowiadaniach Packa.

Gdy pies zobaczył wydrę, która przywarowała na dywanie, ze wszystkich stron ją oglądnął i obwąchał, poczem uznał za stosowne zignorować tak małe stworzenie i obróciwszy się do niej tyłem, usiadł. Wtedy wyderka wstała i jak nie wytnie ząbkami w niewymowną część ciała psiego, a mój pies jednym skokiem jest już na kanapie. Od tego czasu aż do dzisiejszego dnia z należytym respektem ustępuje jej z drogi, jakkolwiek do tchórzów się nie zalicza, dając dowody odwagi przy braniu i aportowaniu postrzelonych lisów i jastrzębi.

Obserwowałem, że także obce psy, które na drapieżne zwierzęta pędem się rzucają i o ile nie gryzą, to przynajmniej naszczekują, wobec wydry zachowują się z rezerwą, jakby zdziwione widokiem niesamowitego stworzenia, które w dodatku niema zwyczaju przed psem uciekać, lecz owszem do niego pierwsze się zbliża.

Przy stole, podczas obiadu, pies asystuje przy krześle, wyderka łasi się przy nogach i od czasu do czasu chwyta lekko za nogę, przypominając się pamięci, a w końcu gramoli się na kolana, albo zabawia się odpędzaniem psa.

Do rynki, z której jada, pies niema przystępu i tak go nauczyła szanować cudzą własność, że choć jedzenie zostawi, pies rynki nie tknie. Z drugiej strony pies, widocznie trzymając się zasady wzajemności, gdy z początku właziła mu do jego miski z jedzeniem, brał ją mniej lub więcej delikatnie w zęby. Wówczas wydra poirytowana, przestawała jeść, obchodziła go w koło, chwytała za nogę i zabierała się z powrotem do jedzenia. Mądre psisko, wiedząc, że mej faworytce nic złego nie wolno zrobić, przybiegał zaraz do mnie na skargę z wielkim lamentem. Musiałem ich godzić, usuwając wydrę, która w takich razach wpada w wściekłość i niebezpiecznem jest wziąść ją w ręce, gdyż kąsa bez względu na to, kto ją bierze i to dotkliwie, nieraz do kości, czego doświadczyłem na własnej ręce.

Powoli nauczył pies wydrę uznawać zasadę wzajemności i obecnie tylko czasem, gdy jest głodną, a nie może się doczekać swego jedzenia, zaprasza się do psa i wtedy razem jedzą przy akompanjamencie duetu, jako wyrazu wzajemnego ostrzegawczego respektu — ona piszcze, a on warczy.

Z młodymi i małymi psami bawi się jak młody psiak. Przewraca się i goni za nimi, a jest tak wytrwałą, że zawsze pies pierwszy rezygnuje z zabawy.

Gdy chce jeść albo pić, wówczas świszcze tak długo, aż ktoś się zjawi i wtedy albo podchodzi do próżnej rynki na jedzenie, albo włazi przedniemi łapami do naczynia na wodę, zadziera łeb do góry i patrzy na człowieka, jakby chciała powiedzieć, że niema wody.

Dziwnem jest, że dotychczas nie chciała wchodzić do wody w stawie, czy też w rzece, a gdym ją kilka razy i to w porze letniej wrzucił do wody, zaraz wypływała na brzeg. Z wiosną będę próbował przy pomocy rybek wpuszczanych do dużego naczynia z wodą, zachęcić ją do pływania i łowienia, a może uda mi się z czasem nauczyć ją sztuki przynoszenia ryb ze stawu. Chcąc ją tej sztuki nauczyć, dotychczas nie dawałem jej ryb do jedzenia, ponieważ przyzwyczajona do tego pokarmu, zamiast, żeby rybę przyniosła, samaby ją skonsumowała. Rzucane w pokoju małe przedmioty, jakko wiek czasem z wielkimi karesami, aportuje dość dobrze i nieraz sama w zabawie podrzuca i chwyta, zwłaszcza okrągłe przedmioty, które tocząc się po ziemi, zachęcają ją do biegania za nimi i łapania.

O dalszych postępach i obyczajach tego rozwydrzonego stworzenia, o ile tego rodzaju biografje Czytelników nie nudzą, pozwolę sobie przy sposobności donieść.

A. Sykora.



Wspomnienia jesienne z 1923 roku.

„Moje niepowodzenia myśliwskie“ powinien był być tytuł tych wspomnień. Mając teren górski wybitnie niedźwiedzi, im tylko cały czas rykowiskowy w roku zeszłym poświęciłem. Jagody czarne, maliny i specjalny przysmak niedźwiedzi czerwone gogoce obficie obrodziły, to też jechałem w góry pełen różowych nadziei, że z tym naszym królewskim karpackim zwierzem kilka spotkań bodaj mieć muszę w nagrodę trudów i niewygód skórę misia z gór przywiozę, nawet przezorność nakazała mi wziąć z sobą większą ilość ałunu, by skóra się nie popsuła. Otóż dobrze mówi przysłowie o skórze niedźwiedziej, bo z tym samym tylko ałunem do domu powróciłem.

Zainstalowawszy się w wysoko położonej swojej kolebie, na drugi dzień popołudniu wybrałem się sam jeden na znaną mi dobrze żerowisko niedźwiedzi, gdzie obfitość „gogoc“ rosła wśród skał, kamieni i usypisk, gdzie niedźwiedzia przed paru laty zabiłem. Podchód względnie łatwy ścieżką, lecz bardzo kamienistą, to też iść trzeba było bardzo cicho na filcowych podeszwach. Po godzinie marszu, zbliżyłem się do zupełnie prawie odkrytego miejsca, na którym kilkanaście rosło tylko kosodrzewin w połowie stoku wysokiej bardzo góry. Stanąłem pod skałą, ze sztućcem na ramieniu i wziąłem do rąk binokle, by rozejrzeć się w dal, gdy w tem usłyszałem blisko, jak kamień się stoczył, wślad za tem i wzrok mój poszedł i cóż: z za kosodrzewin o kroków zaledwie kilkadziesiąt wysuwa się dość duży niedźwiadek, za nią poważna matrona niedźwiedziego rodu, z boku zaś drugi synek.

Znieruchomiałem! Ogromna niedźwiedzica, najspokojniej zupełnie mnie nie widząc i nie nie czując, pasie się, a małe śmieszne czarne kudłate, z żółtemi mordkami i krawatkami bawią się i figle wyprawiają. Ręka pomału do sztućca sięgnęła, lecz w tej chwili cofnęła się, pomnąc na karność myśliwską, że nie należy do niedźwiedzicy z małemi strzelać.

A cóż na toby powiedział prezes lisowicki i brać zakonna o swoim towarzyszu! Długą chwilę stałem i bawiłem się tym cudnym obrazkiem, całe życie me mieć je będę w oczach. W tem noga drgnęła i kamień pod nią klapnął; w jednej chwili obrazek się zmienił, niedźwiedzica łeb swój ogromny w moją stronę zwróciła, bystro na siebie skierowany wzrok jej uczułem, w jednej chwili zawróciła i lekkim truchtem zaczęła się oddalać, a niedźwiedzięta za panią matką w skokach. Zobaczyłem ją jeszcze kilka razy w dali, jak stawała i obracała się ku mnie. Idź spokojnie, nic ci nie zrobię, powiedziałem już głośno!

I w cichy pogodny wieczór wracałem do starej koleby, by z poczciwym strażnikiem swoim Fedorem, przy ognisku swe spotkanie mu opowiedzieć.

Na drugi, czy trzeci dzień, pogoda się zmieniła, po burzy z piorunami, nastąpiła słota, śniegi, zadymki, które cały czas pobytu mego w górach już trwać miały. Korzystając z możliwie znośnego ranka, bo nic nie padało, tylko zimno bardzo było i świeża przypruszka śnieżna na ziemi leżała, wybrałem się z Fedorym do dalekiego rewiru, gdzie dużego niedźwiedzia się spodziewałem, tego samego, którego rok przedtem w fatalnych niestety warunkach chybiłem. Niedźwiedź ten całe lato się w tem samem miejscu trzymał, znacząc wszędzie w kolorach fjoletowo-atramentowych swój tam pobyt. A nawet i krowa, która się przeniosła w lepsze dla niej zaświaty, a poprostu mówiąc językiem Fedora „zdochła“ na połoninach w lecie, bardzo misiowi temu smakowała, bo wziąwszy ją sobie sam bez pomocy o jakieś kilkaset kroków w górę, w cichości w gąszczyku ją spałaszował. Wyszedłszy z koleby w nocy, jeszcze około 6-tej rano byłem na tem samym miejscu, gdzie rok temu koło starej jodły, niedźwiedzia tego chybiłem. Idący przodem Fedor, raptem staje i pokazuje na świeżej przypruszce ogromny trop niedźwiedzia, który bardzo niedawno poszedł do góry. „On musi tędy powracać“, kategorycznie oświadcza Fedory. „On poszedł na jagody do góry, a spać będzie tu niżej i on pod tą jodłą musi powracać“. Jak „musi“ powiadam, to nie ma co, będę tu siedział. Usadowiwszy się możliwie wygodnie pod jodłą, czekam godzinę, czekam dwie, czekam trzy! A tu zimno się robi coraz większe, nie pomaga i manierka, nie pomaga niezawodny środek, to jest raptowne wstrząsanie się w środku kurtki, zimno coraz dotkliwiej dokucza. Jak sroka w kość patrzę się na zwaloną o kilkanaście kroków kłodę, patrzę się na śpiczaka sarniego, niedogryzionego przez wilki rodu, który się już od godziny wraz z siutą pasie, nareszcie przyszła już ta chwila, że dłużej wysiedzieć nie mogłem, skinąłem na dużo więcej wytrzywałego mego Fedora i pocichu mówię mu, by tu jeszcze posiedział, a ja pomalutku pójdę na niedaleki zrąb popatrzeć, może tam niedźwiedzia zastanę, a przy tej sposobności trochę się zagrzeję.

Więc sztuciec do ręki i pomaleńku, by tych sarn nie płoszyć, wycofuję się w stronę zrębu. Uszedłem może już kilkaset kroków, gdy raptem usłyszałem straszenie sarn. W jednej chwili za głowę się złapałem, bo już wiedziałem,

czego to jest powodem. On tam już jest! Możliwie jak najprędzej i najciszej starałem się powracać. Nie dochodząc do jodły, zobaczyłem już tylko wymykającą się jego dużą czarną sylwetę. Pod jodłą trząsący się z emocji Fedory, blady, opowiada, że ledwom odszedł, on przyszedł do kłody o piętnaście kroków, wsparł się na nią łapami, głowę przekrzywił i kuku do niego, tak, jak by chciał coś powiedzieć.

Nie jest to już drugi pech!

Koroną zaś i szczytem pechu, było moje trzecie spotkanie.

Jak już wyżej wspomniałem, tegoroczna jesień obfitowała w wielkie niespodzianki atmosferyczne. Budzę się rano, śnieg do pół kolan, mróz i taka zawieja że świata nie widać. Uspokoiwszy mego nieznośnego skrzecącego budzika, obracam się na drugi bok i pozwalam się budzić dopiero, jak śnieg przestanie padać.

Co prawda, dłużej on trwał, niż mój sen, bo już od 10-tej rano siedziałem w kolebie w stroju niezbyt salonowym, naprzeciw okna, które to wychodzi na skłon, góry, obecnie niewidzialny z powodu zamieci. Około południa trochę się uciszyło, śnieg przestał padać i góra biała w oknie się pokazała. Gdy tak siedzę i patrzę znudzony, coś na górze czarnego mi się majaczy. Nie — to nie mucha, lub coś gorszego na szybie, to jakiś zwierz. Wyskakuję z koleby z binoklami i patrzę i co widzę? Niedźwiedź poczciwy sobie chodzi i maliny objada — czarny — nie bardzo duży, ale już strzału godny kawaler, najspokojniej w świecie spaceruje sobie. Już go i moi ludzi widzą, już i Fedory do pośpiechu przynagla, a więc ubierać się czemprędzej. Łatwo zrozumią koledzy myśliwi, jakie to było i ubieranie, a szczególniej buto-sznurowanie. Dostało się i spokojnemu służącemu memu Romanowi, i niedźwiedziowi, wreszcie, jako tako ubrany, łapię za sztuciec $9^1/_2$ milim. i hajda w górę Poczciwy mój misio wszystko przetrwał i ubieranie i epitety i dalej spokojnie się pasie. Z koleby to wszystko ładnie wyglądało, ale jak człowiek śpiesząc się do góry po śniegu kilkaset kroków prędko szedł, to go trochę rozparło; a więc wolniej już idąc i odpoczywaiąc, niedźwiedzia mego z oczu już straciłem, wszedł pomału do lasu. Jeszcze nic nie straconego! Po naradzie z Fedorym, postanawiamy, znając rewir i przesmyki, iść górą ponad lasem, gdzie ścieżka prowadziła na odkryte miejsce. Po dość długim marszu, widząc kilka razy pod sobą daleko w lesie niedźwiedzia wolno idącego w tęsamą stronę i doskonale wykombinowawszy czas i miejsce spotkania, przyszedłem o tyle jeszcze wcześniej, żem zdążył się i wysapać i sztuciec do strzału przygotować. Gdy wszystko już było gotowe, tak jak w kinie, na zamówienie wysuwa się z lasu niedźwiedź o jakie sto kroków odemnie i wolno po kamieniach idzie. Spokojnie mierząc w przód, pociągam za cyngiel. Złowrogi trzask oznajmił mi klapnięcie. Więc repetuję drugi raz — to samo, trzeci znów to samo. Wreszcie wyrzucam wszystkie ładunki, zakładam nowy i do niedźwiedzia już przeszło na jakie trzysta kroków idącego już w dół, widząc go tylko na kulowy tył, zakładam przed niego i strzelam. Tym razem wypalił już sztuciec. Zaraz w lunecie zobaczyłem, jak niedźwiedź w strzale skoczył i zaczął się tak jakby szamotać. Długo trwało, nim po ośnieżonych kamieniach właściwie nie na nogach dostałem się na miejsce strzału. Obfita farba jasna rozpryśnięta na boki, odrazu mi się nie podobała. Niedźwiedź poszedł w dół, przez potok się przeprawił i do góry ruszył. Zostawiłem poszukiwania, noc się już zbliżała, mróz brał, więc nie było obawy, by tropy do rana zginęły. Odrazu na miejscu sądząc z kierunku strzału i farby, ustaliłem, że jest to strzał dany nieszkodliwie po szyi z obcierką ponad łopadkę. Na drugi dzień po pięciogodzinnem poszukiwaniu ustaliłem me przewidywania. Doszedłszy do legowiska wśród kosodrzewin na górze, zobaczyłem w barłogu miejsce zakrwawione koło szyi. Rano już niedźwiedź poszedł zdrów bez farby. Nieszczęśliwe klapnięcie przypisuję nazbyt obfitemu smarowaniu wojennym ballistolem, sztuciec z pośpiechu złapałem nie wytarty na sucho, a mróz kilkustopniowy ballistol zamroził.

Jeszcze jedno i ostatnie już pechowne opowiem spotkanie, a przestanę nudzić łaskawych czytelników Nie dowierzając już sztućcowi kłapaczowi, brałem z sobą mego starego Rumuna $6^1/_2$ milim., który chociaż bije świetnie, lecz kulę ma małą. Któregoś już dnia, po nie wiem ilu dniach słoty i śniegów, wreszcie słońce zabłysło, mgły się po dołach schowały, szczyty były jasne, błękitne. Więc jeszcze raz jazda ku szczytom tym, w krainę kosodrzewin i omszonych kamieni. Wydostawszy się już bardzo wysoko, około południa doszedłem do przełęczy wysokiego szczytu, zakończonego częściowo połoniną, częściowo usypiskami. Na dołach, mgły rozsiadły się gęste i jakby morze jednolite białe, przewalały się dolinami, a wśród nich jakby wyspy zielone w obramowaniu lasów, to szczyty gór!

Wśród tej ciszy, kilka jeleni odezwało się w mgłach, jakby chciały zaprzeczyć temu, że tej jesieni rykowiska prawie, jakby nie było. Strudzony forsownym marszem, pomaleńku idąc wśród karłowatych świerków, wychodziłem z krainy lasów ku przełęczy. W tem zobaczyłem na połoninie wśród rzadko rosnących kosodrzewin dwa niedźwiedzie wolno chodzące i pasące się. Jeden ogromny ciemny, grugi mniejszy bury. Odległość znaczna, przeszło 400 kroków, co robić, strzelać z miejsca, czy też czekać, może jeszcze się zbliżą. Zdecydowałem się na to drugie, nie chciałem bowiem na tę odległość strzelać małą kulą, by znowu nie ranić niedźwiedzia, myślałem, że zejdą niżej, a wtedy pewną kulę posłać. Niestety, tak się nie stało. Niedźwiedzie pomału zaczęły się oddalać i przez przełęcz wolno na drugą stronę przeszły. A z drugiej strony już nie mój rewir i dżungle kosodrzewin.

A to był „toj staryj i jego kolega“ tak ich zdefiniował mój Fedory, który każdego niedźwiedzia zna w swoim rewirze.

Na drugi dzień znowu słota beznadziejna i powrót z gór, coprawda bez skóry niedźwiedzia, z jednym tylko wieńcem jelenim, lecz z cudnemi wrażeniami, które teraz dopiero po pół roku spokojnie już opisać mogłem.

K.



JÓZEF HR. POTOCKI.

Z obcych światów.

Nad Setitem.

(Kartki z wyprawy myśliwskiej)

—▬—

(Ciąg dalszy)

17. lutego.

W wykonaniu wczoraj ułożonego planu chłopcy o świcie ruszyli pochodem za tropami słoni, w towarzystwie całej grupy najlepszych shikarich. Jak wyżej wspomniałem jedynym niemal sposobem polowania na słonie, jest podjęcie ich świeżego tropu od wodopoju i forsowny marsz za nimi aż do podejścia na strzał. Słoń oo wodopoju odchodzi bardzo daleko i zwykł przystawać dopiero podczas południowego skwaru w cieniu wysokich akacji. Od sprawności i sprytu shikarich, ich zdolności tropienia z uwzględnieniem największej ostrożności na wiatr, na co słonie są niezmiernie czułe, zależy rezultat polowania, a raczej możność podejścia do zwierza, bo w ostatniej chwili decyzja strzału, wybór celu i trafność kuli — wyłącznie od myśliwego, względnie od zalet jego broni zależą. Emocja i nerwy w decydującym momencie przy zejściu potężnego zwierza na bliski zazwyczaj dystans — niemałą tu odgrywają rolę.

Wyszedłszy na zwyczajną przechadzkę po dżungli, pziwny miałem wypadek ze strzałem do pantarki, którą chybiłem, tymże strzałem jednakże zabiłem niechcący gołębia, który w locie wpadł pod śrut mojej strzelby. Cały ranek uganiałem się za gazellami, ale do strzału dojść nie zdołałem. Najwidoczniej zwierzyny tu niewiele; to też, o ile ze słoniami nie damy sobie rady, wolałbym dziś jeszcze dalej na wschód się posunąć.

Nigdy jeszcze w żadnej z moich wypraw afrykańskich nie spotkałem w takiej ilości tropów słonich, jak koło Sofi. Formalne drogi po dżungli od i do wodopojów od ich przechodów ubite i pomiotem usłane. Wszędzie znać ślady ich bytności. Dlaczego właściwie tę specjalnie okolicę na mieszkanie obrały, odgadnąć trudno. ani wegetacją bowiem, ani wyglądem nie nadaje się ona dla tych olbrzymich pachydermów. Brak tu wielkich drzew i zacisznych kniei, trawa przeważnie niska i niskopienne drzewka ciernistej akacji na stożkowatych kamienistych pagórkach.

Nie można nawet porównać tego krajobrazu ze wspaniałemi brzegami Nilu Niebieskiego około Dissy, gdzie ostatni raz w Sudanie słonie spotkałem.

Krajowcy twierdzą, jak to już nadmieniłem, że to słonie nie miejscowe, ale z gór abissyńskich przybyłe. Ile ich tu być może, dociec trudno, bo stad jest kilka. Krajowcy, nie znający cyfr, na setki je obliczają. Ja sądzę, że musi ich być 30—40 sztuk.

Chłopcy wracają po pierwszej w południe zziajani i znużeni sześciogodzinnym marszem za tropem stadka słoni. Zeszli je podobno blisko, o paręset kroków, gdy słonie albo ich zwietrzywszy, albo spłoszone spotkanymi w dżungli zbieraczami gumy i ich taborkiem, głośno fuknąwszy, ruszyły cwałem i dalszy ich pościg okazał się niemożliwym. Szkoda tak pięknej okazji na samym początku wyprawy!

Po przekąsce ruszamy z obozem do miejscowości, zwanej Wad Heleu. Przechodzimy wpław Atbarę i po trzygodzinnej wędrówce docieramy da Setitu, właściwego celu naszej myśliwskiej ekspedycji.

Wartkim prądem w kamienistem korycie, wśród urwistych brzegów i skał płynie ta rzeka piękna i malownicza, którą niewielu turystów oglądało i z rzadka tylko wyprawy myśliwskie nawiedzają. Z Polaków, o ile mi wiadomo, tylko pan Konstanty Rembieliński w latach ośmdziesiątych ubiegłego wieku polował nad Setitem w miejscowości Om-Hahar po stronie abissyńskiej, niedaleko od miejsc, w których się znajdujemy. Omal życiem nie przepłacił wówczas spotkania z ranionym przezeń bawołem. Wzięty przez rozjuszonego zwierza na rogi w górę podrzucony, cudem tylko ocalał i przez wiernych krajowców z jego eskorty na noszach do jednego z portów Czerwonego Morza po trzech tygodniach ciężkich marszów odniesiony został.

Z angielskich wypraw myśliwskich ostatnią była ekspedycja przedwojenna lorda Sefton w roku 1913.

Na mnie Setit dziwnie urocze i sympatyczne zrobił wrażenie. Nad samemi brzegami wegetacja bujniejsza, ładne jakieś drzewa szpilkowe w rodzaju strobusów tworzą zaciszne gaiki; zresztą nieco dalej od rzeki dżungla mniej więcej jednostajna, kamieniste pagórki, żółtą trawą i mimozą porosłe. Tropów zwierzyny dość. Widzimy po drodze niezliczone stada pantarek, gazelle i zwinne dik-diki, umykające wśród krzewów. Józio ubija dzika afrykańskiego (Phacochoerus Aethiopicus), pierwszą grubszą zwierzynę w naszym rozkładzie.

Obóz nasz wypada na wzgórku, na czystym placyku, okolonym wyższemi drzewami. Stojące na nim trzy zwyczajne chatki sudańskie w kształcie uli udzielają nam gościny na nocleg. Dzisiejsze menu nasze złożone jest wyłącznie ze zwierzyny. Drop wczorajszy okazał się bardzo smaczny, o kruchem, białem mięsie.

18. lutego.

Cały dzień dzisiejszy, piąty z rzędu naszej wyprawy, spędzamy w Wad-Heleu. Po wygodnym noclegu wychodzimy w trzy partje na zwyczajną po dżungli przechadzkę, w ciągu której zasadzka przy rzece na tak zwanej tutaj „meshra“, czyli wodopoju, należy do najwięcej używanych sposobów polowania w tej części Sudanu. Prócz olbrzymiej ilości pantarek i kilku gazelli, żadnej zwierzyny nie zdybałem. Świeże tropy słoni i liczne ślady pięknej antylopy „kudu“ krzyżują się w piasku.

Romek przynosi gazellę Heuglina, ubitą tuż przy obozie, i sporo pantarek. Widział też kilka „kudu“, ale same samice bez rogów. Józio strzelał nad rzeką do arieli i widział po raz pierwszy duże antylopy Water-Buck (Cobus Defassa), ale zbyt daleko do strzału.

Spożywamy dziś śniadanie w rozbitym po raz pierwszy namiocie. Gorąco kapitalne. Termometr wskazuje 34° R. w cieniu. Jestem coraz więcej pod urokiem pięknego Setitu, którego brzegi roją się od licznych stad małp i rozmaitych ptaków, ożywiających prześliczny krajobraz.

19. lutego.

Ruszamy o świcie, wyprzedzając karawanę i rozchodzimy się w rozmaite strony. Padają gęste strzały do panrek, arieli i gazelli. Widzę po raz pierwszy parę „kudu“ samca i samicę, lecz niesłychanie ostrożne i płochliwe — szybko znikają w gąszczach, Okolica mniej ludna, śladów zwierzyny coraz więcej, rosną nadzieje lepszych rezultatów — tylko o lwach nic nie słychać.

W południe, w połowie drogi od Wad-Heleu do Giry, postanawiam rozbić w dżungli obóz i pozostać tu do jutra celem bliższego spenetrowania okolicy.

Na śniadanie chłopcy wracają zmęczeni wzmagającym się upałem i nieco strapieni chybnemi strzałami do arieli i gazelli. Józio miał poraz pierwszy spotkanie z antylopą hartebeest, zwaną tutaj „tetel“ (Bubalis Thora). Po przekąsce chłopcy znów podążają do wodopoju, czyli do meshry, jak odtąd nazywać będę — ja zaś pozostaję w obozie. Gdy odpoczywałem, siedząc w wygodnem krześle, ludzie zasygnalizowali mi nagle olbrzymiego „tetla“, stojącego na wzgórku o paręset kroków od mego namiotu,

Gdy się wszakże starałem zbliżyć doń ze sztućcem, odrazu prysnął w krzaki; zwierzyna tu niesłychanie czujna.

Romek zabił przed wieczorem 4 dziki afrykańskie i młodego ariela.

20. lutego.

Ranek spędziłem bezowocnie u meshry. Widziałem tylko parę gazelli i moc rozmaitych ptaków, chociaż gatunków tu mniej, niż nad Nilem Niebieskim i wogóle zwierzyny niezbyt wiele, a obfitość wody płynącej i nie zlokalizowanej w oddzielnych kałużach, jako koniecznych wodopojach dla zwierza, sprawia, że polowanie tu niełatwe i spotkania ze zwierzem są raczej przypadkowe, niż z góry dające się obliczyć. Dlatego pragnę szybkiemi marszami podążać naprzód, aby coprędzej do Umbregi się dostać. Mają tam być najlepsze ostoje grubego zwierza.

Mimo to w dżungli nigdy znudzić się nie można, a szczególnie urocze i interesujące są zasadzki nad rzeką. Ciągle się coś nowego obserwuje. Zwłaszcza życie ptasiej fauny zawsze silnem bije tętnem.

Po powrocie chłopców, z których Romek przyniósł pięknego rogaczyka Heuglina, a Józio parę pantarek — i po posiłku południowym, zwijamy obóz i ruszamy w dalszą drogę do miejscowości, zwanej Gira, niedaleko od Wad Heleu położonej, gdzie stajemy po lekkim półtoragodzinnym marszu, wciąż koryta Setitu się trzymając.

Osady ludzkiej tu niema. Obóz rozbiliśmy w uroczej miejscowości, nad rzeką, w pierścieniu większych drzew, tworzących jakby zacienione koło. Opodal dżungla się pali. Dziwny widok przedstawiają te czarne tumany dymu, kłębiącego się w przeźroczystej atmosferze. Zwyczajne to zresztą zjawisko w przestworach dżungli afrykańskiej.

Spotkani krajowcy opowiadają o świeżych śladach lwów w pobliżu. Romek idzie z Achmetem Karumą, aby je odszukać, ja zaś zasiadam przy wodopoju na wzgórzu, wznoszącem się na brzegu rzeki. Przed sobą mam szeroką wydmę piaszczystą, za nią wąskie koryto płynącej rzeki, a dalej mielizny i stromy stok przeciwległego wybrzeża, porosłego karłowatą akacją.

Po chwili towarzyszący mi shikari odkrywa na samym szczycie przeciwległego wybrzeża, na nieprawdopodobnie daleki dystans, dużego zwierza. Zaledwie przez Zeissa zdołałem go odszukać, poznając wspaniałego rogala „kudu“ z pysznemi rogami. Był odemnie conajmniej o kilometr. Przesuwam się tedy na inne miejsce, aby go mieć w prostej linji naprzeciw siebie i widzę — naturalnie przez lornetkę — że zwierz kieru e się ku nam dla zejścia ku rzece.

Więcej jednak niż godzina upłynęła nam w najwyższej emocji, zanim ostrożna antylopa spuściła się z góry i wstąpiła na kamienistą mieliznę. Tu jednak zwierz zawahał się i przystanął nieufnie, jakby pełen wątpliwości, czy ma dalej podejść.

Zmrok zapadał, położenie stawało się coraz gorsze i mimo olbrzymiego dystansu, jaki nas dzielił, nastawiwszy na Mannlichera teleskop na najdalszą metę, wolno wycelowałem i strzeliłem do boku. Nie ruszył się jednak po strzale, tylko jakby zjeżył się na grzbiecie i pyskiem jął się macać po boku; potem zgarbiony począł odchodzić. Strzeliłem raz, drugi i trzeci... Po trzecim strzale byk zachwiał się, tyłem zakręcił i upadł. Moi ludzie wrzasnęli z radości, przyskoczyli do mnie i poczęli mię ściskać za ręce, twierdząc, że kudu ubity — „idrop“. Zwierz wszakże tymczasem powstał i — aczkolwiek ciężko ranny — począł się wspinać z wysiłkiem pod górę po skalistym stoku.

Należało za nim pospieszyć, ale dobra chwila upłynęła, zanim dobiegliśmy do rzeki, przez którą ludzie przenieśli mię na rękach, w pośpiechu omal do wody mnie nie wrzucając — i zanim dostaliśmy się do miejsca postrzału. Farby było na piasku sporo, ale zwierz wdrapał się już na szczyt pagórka i zniknął nam z oczu. Ciemno się tymczasem zrobiło na dobre, nie było więc innej rady, jak szukanie odłożyć do jutra i wracać do domu.

Chłopcy po powrocie opowiadali znów swoje wrażenia; Romek widział świeże tropy lwa, spotkał hjenę i antylopkę „bush-bucka“, ale do strzału nie doszedł.

21. lutego.

Miłe są dni w obozie, gdy o świcie nie trzeba się zrywać, aby zwijać cały tabor i w dalszą drogę pospieszać — jeno, gdy można się w obozie roztasować i spokojnej po dżungli użyć przechadzki.

Wyczuwa się wówczas cały urok takiej wyprawy, leżący w tem, że się zapuszcza w strony nieznane, dziewicze, bezludne i dalekie od świata — że człowiek zagłębia się coraz bardziej w przestrzeń bez końca, w bezpośredniem zetknięciu z dziewiczą przyrodą, która na każdym kroku odkrywa przed zdumionem okiem jej wielbiciela coraz nowe skarby, w jej tajnikach zawarte.

Chłopcy wyszli raniutko ze swoją eskortą, ja zaś dłużej pozostałem w obozie, wychodząc później na krótki spacer wzdłuż koryta rzeki. Śliczne pantarki, tysiące gołębi i wodne ptaki przeróżnych gatunków bawią wciąż oko i nęcą do strzału. Zabijam kilka sztuk dla kuchni, między innemi dużą gęś egipską (Chenalopex aegiptiaca) kulą z Mannlichera na dwieście kroków, smaczne jakoby pieczyste.

Gdy siedziałem przed namiotem, robiąc notatki, przyspacerował do naszego namiotu jakiś Anglik i, podszedłszy ku mnie, przywitał się, jakby dobry znajomy. Był to funkcjonarjusz rządu sudańskiego, inspektor angielskich składów broni i amunicji, rozrzuconych po kraju. Od 8 lat obchodzi piechotą wszystkie posterunki wojskowe i śledzi za amunicją. Poczęstowałem go sucharkiem i butelką wody sodowej; posiedział kwadrans i odszedł w dalszą drogę.

— Good bye, good luck! — i tyle go widziałem.

Za nim ciągnął wielbłąd z prowizją i zbrojny milicjant.

Moi ludzie, posłani za postrzałkiem, wracają w południe, ale niestety bez zwierza. Przychodzą mi na myśl częste zawody w tym rodzaju z moich poprzednich wypraw afrykańskich, w których tylekrotnie doświadczyłem, że zwierz na miejscu nie ubity, zazwyczaj przepada i jest dla myśliwego stracony, krajowcy bowiem odszukać go nie umieją. Kudu jakoby z początku silnie farbował, ale wbił się w gąszcze, farba ustała, trop skrzyżował się z innemi — i ludzie dali za wygraną.

Chłopcy też nic nie przynoszą. Romek po południu jeszcze raz poszedł z mymi ludźmi za postrzelonym kudu, ale go również odszukać nie zdołał.

Ja spędziłem kilka godzin nad meshrą, lecz grubszej zwierzyny nie widziałem. Zabiłem tylko 4 pantarki jednym strzałem. Józio też sporo ich przynosi. (Cl d. n.)

WŁADYSŁAW JANKOWSKI.

Heco, heco, hedżgoha!

Pamiętniki charciarza.

Słowo wstępne. — Inwokacja. — O polowaniach z chartami. — Jakie mają być charty. — Jakie konie do polowania z chartami najlepsze. — Mój mistrz. — Ostatnim tchem zwycięzca. — Lisia kąpiel. — Lis bez psów sforsowany. — Niezwykłe skoki. — Nieudana próba sforsowania lisa. — Życzliwe rady Michała furmana. — Wodzirej weredyk. — Jeszcze jeden sforsowany zając. — Niezręczny dojeżdżacz. — Coś niecoś o moich chartach. — Duglaś i Szejtan. — Piękna gałganka. — Kłapacze. — Pomoc dajcie mi rodacy. — Ciekawe polowanie. — Co się prócz lisów i zajęcy szczuć przydarzyło. — Polowanie zimowe. — Lepszy rydz, jak nic. — Spadam wraz z chartami mykicie na łeb. — Daremna praca, daremny trud. — Cierpliwość wynagrodzona. — Walka o rekord. — Kompromitacja Lasoty. — Mykita redivivus. — Głupie charty. — Przerwane zaloty. — Zagadkowy taniec lisa.

(Ciąg dalszy)

26. Walka o rekord.

Przyjechał raz do mnie umyślnie na te lisie łowy, szwagier mój Henryk Gawroński. Zasmakował ogromnie w tym sporcie i szereg dni jeździliśmy obaj we dwoje sani, każdy mając pod baranicą, smycz chartów.

Staraliśmy się jeden drugiemu pomagać, biorąc lisa myszkującego między dwoje sani, tak, że mykita obałamucony, nie wiedział którędy uciekać, albo zagapiwszy się na jedne sanie, pozwalał drugim koniom blisko podjechać. Uszczuliśmy tak sobie wzajemnie pomagając, mnogo lisów, i coraz bardziej zapalaliśmy się do tego cudownego sportu. Raz wypadło mi pojechać do powiatowego miasta w interesach. Mój szwagier nic mi o tem nie wspominając, pojechał tymczasem na polowanie. Wracam wieczór, Henryk pokazuje mi swoje trofea. Cztery lisy leżą na kamiennych flisach przedpokoju.

Zadrżało moje myśliwskie serce i wąż zazdrości ukąsił mnie. Cztery lisy! Takiego rezultatu, ja nigdy nie miałem. Raz, czy dwa razy w życiu ułowiło się, iuvante Sancto Huberto, po trzy lisiury, ale cztery, nigdy. Przepłacił biedaczysko Henryk, ten tryumf swój, ciężkim atakiem astmy i na drugi dzień nie wstawał z łóżka.

Nazajutrz mrozu kilkanaście stopni i zefirek jak brzytwa. Nic to, Zajeżdżaj Lassota. Laury mego szwagra żyć mi nie dają. Jedziemy tedy. Ziąb straszliwy, który pod zachód słońca, przechodził prawie granice wytrzymałości ludzkiej, Nic to. Ja muszę być górą.

Dzięki Ci Djano! Cześć Ci Święty Hubercie! Poszczęściło się. Leżącemu w łóżku szwagrowi, cisnąłem wieczór pod nogi pięć trupów lisich, a żona ręce załamała, oglądając odmrożone na prach uszy, nos i brodę. Lassota także bez szwanku nie wyszedł i długi czas naftą i waseliną smarować się musiał.

Więc w każdym razie trzymam rekord, bowiem nie słyszałem, aby kto sześć lisów jednego popołudnia złapał.

Ale ja Państwu jeszcze lepszy rekord przedstawię do pokonania, Oto w sezonie 1907-1908, najlepszym, co się tyczy dobroci i długotrwałości pola, jaki przeżyłem, od 17, listopada, kiedy pierwszy lis na śniegu padł moich krwiożerczych instynktów ofiarą, do 20-go marca, kiedy uszczułem ostatniego w tym błogosławionym sezonie lisa, złapałem ich razem sztuk 42.

Spróbujcie epigonowie ten rekord pobić, spróbujcie stawiać wytrwale czoło wści kłej suszy podolskiej, zajeźdźcie tak jak ja kilka par koni, a może wam Djana poszczęści, może który z was światu ogłosi, pobiłem rekord starego charciarza.

27. Kompromitacja Lassoty.

Ciągle, niemal w każdym obrazku, wspominam mego poczciwego Lassotę. Bo też to zacne jest człowieczysko. Jako koniuszy, położył koło mego stada, niespożyte zasługi. Sam wielki miłośnik koni, otaczał swych pupilów pieczołowitą opieką, umiał konie domowemi środkami leczyć, a przy porodach, nigdy u mnie nie było nieszczęśliwego wypadku. W czyszczeniu młodych ogierków, jest specjalistą doskonałym, a pasję tę szczególną, rozciąga na wszelkie zwierzęta domowe, i zawsze z dobrym wynikiem.

Charciarzem też był nad charciarze i znał się na rzeczy, jak nikt, a niebywale bystry wzrok jego, nieraz mnie wprawiał w zdumienie.

I temu człowiekowi o rysich oczach, musiał się przydarzyć następujący casus:

Jedziemy raz, z pagórka na pagórek, upatrując, czy gdzie nie mignie nam żółta sukienka rozbójnika mykity. Nie widać nic, Ja zaufany w czujność i bystrowzroczność Lassoty, zadumałem się czegoś. O czem myślałem, nie pamiętam, ale fakt, że myślami przy lisach i chartach nie byłem.

Choć się wydaje nieprawdopodobne, lecz i z Lassotą to samo się działo, zdaje się nawet, że drzemał,

Przypadkiem podnoszę oczy i widzę, oczom wierzyć nie chcę, tuż obok naszych sani, o 10 kroków może, lisa, który zaskoczony niespodzianem z nami spotkaniem, przywarował. Rozpłaszczył się jak kawałek papieru, a tylko czarne, chytre ślepia, spozierały nieufnie na przejeżdżających ludzi.

Jak iskrą elektryczną tknięty, zrywam się. Odwiązać smycz, było dziełem niewielu sekund, piorunem baranica w górę i hedź go moje pieski, hedź go ha!

Już charty w potężnych susach za nim. już Mykita w obrotach, już psy targają, już go do sanek niosę i pod siedzenie chowam. Cała historja zaledwie kilka minut trwała, a pomyślny rezultat, był nagrodą za moją szybką decyzję.

— A un się skąd tu wziął? — pyta Lassota, mrugając zaspanemi oczyma. Prosił się na sanie, więc go wziąłem — odpowiadam i dalejże staremu urągać i drzemkę jego wykpiwać. Miał się on z pyszna za to chwilowe poddanie się senności i bardzo się tego wstydził. Do dziś dnia nie lubi, aby o tym wypadku wspominać.

28. Mykita redivivus.

Był to dzionek wesoły, słoneczny, choć bardzo mroźny. Idealna powierzchnia śniegowa, spokojne powietrze, po trzydniowej typowo podolskiej zawierusze śnieżnej, kazało się spodziewać wielu lisów. Nie omylił mnie instynkt myśliwski, nie zawiodło długoletnie doświadczenie. Już dwa lisy były w sankach, a trzeciego już widzimy opodal na pagórku.

I ten nie oparł się moim chartom, już go wloką za kitę do sani, a Lassota psy za halsztuki prowadzi,

Lecz, czy to wzrok mnie łudzi, czy jaki omen każe mi widziec rzeczy nigdy nie bywałe? Patrzę i oczom wierzyć nie śmiem. Na saniach, na moim siedzeniu, siedzi mykita. Łeb skrwawiony przekrzywił w lewo i duma. Nie ufając swoim oczom, pokazuję tego ducha Lassocie. I on się dziwuje, ale w decyzji szybki, biczyskiem lisiurę napowrót na tamten świat zawrócił.

Miałem anno dazumal domowego handełesa, który który wszystkiem handlował, kupował więc także u mnie skórki zajęcze i lisie, a gdy mógł, to okpić mnie nie omieszkał. Był bardzo bojaźliwego serca, do koni zbliżać się nie lubiał, a już „za ten pies“, to się bardzo bał.

Powracam raz do domu z pomyślnej wycieczki łowieckiej, pod siedzeniem dwa lisiury się kryją. Jak się masz Bijumen, kupujesz lisy? Mam ich dwa tu koło siebie. „Nu czemu nie, proszę pokazować“. Popatrz sam. Żydzisko pcha rękę w słomę i z krzykiem odskakuje jak oparzony. „Aj waj! Wun mnie ukąśnił, wun mnie renki złamił“.

Mykita pod siedzeniem odżył i trzeba było długo i energicznie jego zbójecką duszę z powrotem do raju lisiego wyprawiać, nim się wreszcie zdecydował ten padół ziemski opuścić.

(C. d. n.)

Zamknięcie rachunków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, za rok 1922|23.

Dochody

1	Saldo kasowe z r. 1921/2	485.919
2	Wpisowe	127.100
3	Wpłaty członków	13,347.733
4	Prenumerata	1,689.899
5	Za odznaki	516.300
6	Zwrot kosztów pocztowych	584.623
7	Nadzwyczajne	545.113
8	Inseraty	2,297.910
9	Dobrowolna danina członków . . .	4,014.340
10	Ustawa łowiecka	22.200
11	Wystawa łowiecka	101.055
12	Premiowe strzelanie	80.643
13	% od rach bieżącego	4.786
		23,817.621

Rozchody

1	Druk „Łowca“		10,562.010
2	Honorarja autorów		421.840
3	Administracja „Łowca“:		
4	*a)* Płace . . Mkp.	4,237.334	
5	*b)* Czynsz . „	335.000	
6	*c)* Ryczałt . „	301.508	4,863.842
7	Bibljoteka		127.630
8	Koszta pocztowe i wysyłka „Łowca“		1,616.997
9	Nadzwyczajne		1,175.066
10	Klisze . . . . , ...		9.100
11	Koszty odznak		871.000
12	Subwencje		100.000
13	Stan kasy z dnia 20/V. 1923:		
	Rach. Banku Kraj. .	40.682	
	Rach. P. K. O. . . .	3.870.033	
	Gotówka podręczna .	159.421	4,070.134
			23,817.621

Juliusz hr. Bielski
prezes

Stanisław Pieńczykowski
skarbnik

za zgodność z księgami
Hipolit Weissgerber
członek komisji rewizyjnej



Program i Regulamin popisowego strzelania

XXII. Zjazdu Małopolskiego Tow. Łow. dnia 16. czerwca 1923.
Początek strzelania o godzinie 10-tej rano, na strzelnicy wojskowej na Kleparowie.

1. Strzelanie z pistoletów do tarcz stałych na 25 kroków.
2. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 100 kroków z wolnej ręki.
3. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 300 kroków przez lunety.
4. Strzelanie kulami do tarczy ruchomej (dzik) na odległość 100 kroków.
5. Strzelanie w dubletach do dwóch naraz puszczanych dzików na 100 kroków.
6. Strzelanie kulami do ruchomego lisa na 60 kroków.
7. Strzelanie młodzieży kulami do ruchomego dzika na 60 kroków.
8. Strzelanie śrutem do krążków glinianych.
9. Strzelanie kulami w dubletach do dzików i lisów — o nagrodę „Kniei“ na odległość 60 kroków.
10. Strzelanie „Zwycięzców“ o wędrowną Nagrodę Mistrzowską (dar p. Marjana Jaroszyńskiego).

Nagroda ta stanie się własnością tego, kto ją rok po roku wygra.

W strzelaniu tem biorą udział zwycięzcy wszystkich pierwszych nagród w tegorocznem strzelaniu (z wyjątkiem strzelania 1-go i 7-go) o ile są członkami Małop. Tow. Łow. co najmniej od 1-go stycznia 1923 r. Każdy ze strzelających daje po jednym strzale do ruchomego dzika, lisa i ewentualnie po dwa strzały do krążka, przyczem jednak krążek rozbity pierwszym strzałem liczy punktów 3, zaś rozbity dubletem 2 punkty. Strzały trafne kulami liczy się normalnie według oznaczeń. Jako broń dozwolone są trzylówki, względnie sztuciec i śrutówka. Zwycięzcy przysługuje tytuł „Mistrza“, nagroda zaś staje się jego ograniczoną własnością na przeciąg jednego roku, poczem przed następnem strzelaniem premjowem winien ją oddać do rąk Komitetu strzelania. Dopiero dwukrotne zdobycie tej nagrody rok po roku, oddaje ją na własność zwycięzcy.

Statut „nagrody pierwszego Mistrza“

dar p. Stefana Reichardsperg Reicharda.

1. Nagroda nosi tytuł „Nagrody pierwszego Mistrza“, jest nagrodą niewędrowną i przeznaczoną dla tego ze strzelających, kto wykaże według niżej podanych punktów największą sprawność w strzelaniach czysto myśliwskich.
2. Aż do czasu, gdy nagroda komuś przypadnie w udziale, jest ona w przechowaniu u prezesa M. T. Ł.
3. O nagrodę tę mogą się ubiegać wszyscy uczestnicy premjowego strzelania, o ile są członkami M. T. Ł. co najmniej od 1. stycznia tego roku, w którym się premjowe strzelanie odbywa.
4. Przyznanie nagrody osądza Jury każdorazowego premjowego strzelania.
5. Przyznanie nagrody nastąpi temu ze strzelających, kto w czasie jednego strzelania zdobędzie 3 pierwsze nagrody w strzelaniu do tarcz ruchomych, z tem, że jako jedna z tych nagród musi być wzięta nagroda w strzelaniu śrutem.
6. Zdobycie dwóch pierwszych nagród i „Mistrzostwa“ nie uprawnia do przyznania nagrody.
7. Dopuszczone jest strzelanie z wszelkiej broni myśliwskiej, tak jak to każdorazowo normują statuty premjowych strzelań.

Statut „nagrody Kniei“

dar p. Adama Kaplińskiego.

Do strzelania tego stają wszyscy zwycięzcy pierwszycę i drugich nagród z wyjątkiem strzelania z pistoletów i strzelania młodzieży. Strzelanie polega na strzelaniu w trzech dubletach do dzików i lisów na 60 kroków. Strzela się najpierw w dublecie do dwóch naraz puszczanych dzików, następnie do dwóch naraz puszczanych lisów. Strzelać wolno z wszelkiej broni myśliwskiej. Jeżeli strzelający w jednym z dubletów do dzików chybi jedną kulą, aibo jeżeli tylko raz zdąży strzelić, to odpada od dalszego strzelania. Do lisa wolno jest chybić, jednakowoż i tu musi strzelający zawsze dwa razy strzelić. Celem zrównania dzika z lisem został oznaczony lis w ten sposób, że cała ta przestrzeń w obrębie której gdyby kulę otrzymał padłby w miejscu — została oznaczona 4-ką, wszystkie zaś kraje 1-ką. Nagrodę otrzyma ten, kto w tych dwóch strzelaniach — które zatem stanowią jedno strzelanie — uzyska największą ilość punktów. Jeżeli jednak, zaszedłby wypadek, że dwóch ze strzelających miałoby jednakową ilość punktów, to nagroda zostaje przyznana temu, kto przy strzelaniu w dubletach do lisów miał punktów więcej. Jeżeli i te sumy byłyby równe, to następuje rozstrzeliwanie się po jednym dublecie do dzika i lisa.

Ogólny regulamin strzelania popisowego.

§ 1. Do strzelania III., IV. i V. są uprawnieni tylko członkowie M. T. Ł., w innych strzelaniach biorą udział członkowie Tow. i osoby przez Tow. zaproszone.

§ 2. Do strzelania VII. są uprawnieni młodociani członkowie Tow. do lat 18, względnie młodociani synowie członków M. T. Ł.

§ 3. Zgłoszenia do strzelań przyjmuje Komitet na miejscu urzędujący. Wpisowe do każdego strzelania wynosi 10.000 Mkp., a do strzelania VIII 20.000 Mkp.

§ 4. W strzelaniach kulowych dozwolona jest wszelka broń myśliwska kulowa bez kukerów.

§ 5. Kwalifikacje do uzyskania nagrody w strzelaniu I., II. i III. daje najwyższy iloczyn ze sumy trafionych punktów pomnożony przez liczbę trafnych strzałów. W strzelaniu V. strzelający strzela, dublując do dwu naraz puszczanych dzików w dwu osobnych dubletach. Wymagane jest trafienie obydwu dzików w każdym dublecie, jeżeli strzelający chybi jedną kulą, albo jeżeli raz tylko zdąży strzelić, to dublet taki liczy się jako chybiony. W strzelaniu IV. i VI. rozstrzyga suma uzyskanych punktów.

§ 6. W strzelaniu IV., V. i VI. odpadają od dalszego strzelania, jeżeli po pierwszych ich strzałach obliczenie wykaże, że żadnej już nagrody uzyskać nie mogą.

§ 7. W strzelaniach I., II., III., IV., VI., VII. daje każdy ze strzelających po 5 strzałów, przy strzelaniu V. w dwóch dubletach 4 strzały.

§ 8. W strzelaniu VIII. strzela każdy do 10 krążków, chybiający dwa krążki bezpośrednio po sobie, odpada od dalszego strzelania. Krążek musi być rozbity w powietrzu.

§ 9. Dublowanie do krążków jest dozwolone, wpływa jednak ujemnie na wynik strzelania, gdyż przy równej liczbie rozbitych krążków rozstrzyga liczba strzałów. Do jednego krążka wolno tylko dwa razy strzelać.

§ 10. Strzelanie odbywa się z wolnej ręki, z wyjątkiem strzelania III. przez lunety, przy których dozwolone jest dowolne oparcie.

§ 11. Biorący udział w strzelaniach do tarcz stałych, muszą dać swe strzały w przeciągu 10 minut. Strzał dany po albo przed sygnałem oznaczającym początek, względnie koniec strzelania, wyklucza strzelającego od danego strzelania.

§ 12. W strzelaniu IV., V., VI., VII. i IX. wolno się złożyć przed ukazaniem się tarczy. W strzelaniu VIII. składać się przed puszczeniem krążka nie wolno.

§ 13. Jeżeli nabój nie wypali, strzał się powtarza, jeżeli jednak broń nie wypali z winy strzelającego (n. p. zamknięty bezpiecznik, kurek i t. p.) strzał nie oddany uważa się za chybiony.

§ 14. Uczestnicy strzelania poddają się bez zastrzeżeń regulaminowi i zarządzeniom komitetu, pod rygorem wykluczenia od udziału w konkursie. O przyznaniu nagród w kwestjach spornych, rozstrzyga nieodwołalnie sąd rozjemczy, w skład którego wchodzi Wydział M. T. Ł. i osoby przez Wydział zaproszone. Komitet strzelania zastrzega sobie zmiany w porządku poszczególnych strzelań.



Sprawy Towarzystwa.

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału z dnia 5. maja 1923.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni członkowie Wydziału Garapich, Jędrzejowicz, Münter, Orski, Pieńczykowski, Prek, Sander, Streer, zastępcy: J. Ćwierzewicz, Ebenberger i Reichard, kooptowany Manasterski, zaproszony R. Ćwierzewicz.

Po załatwieniu kilku spraw administracyjnych, mianowano w dalszym ciągu delegatami Panów Dr. Władysława hr. Michałowskiego z Dobrzechowa i Józefa Wiktora z Nowej wsi, na powiat strzyżowski, zaś mandat Pana Aleksandra Przedrzymirskiego, dotychczas delegata w powiecie przemyskim, zatwierdzono na powiat przeworski.

Z powodu konkretnego wypadku postanowiono, jako zasadę na przyszłość, że mianowania delegatów winne następować po zasięgnięciu najdokładniejszych informacji, o ile możności w porozumieniu z odnośnem Starostwem, które w każdym razie o dokonanej nominacji winno być równocześnie z mianowaniem osobno uwiadomione.

W poczet członków Towarzystwa przyjęto:

Ludwika Dudzińskiego, Jana Gołębskiego, Stanisława Grohala, Józefa Klimoscha, Władysława Mossakowskiego, Annę Podleską, Edmunda hr. Ponińskiego, Dr. Henryka Reaubourga, Stanisława Rossowskiego, Adolfa Strihafkę, Marję Theschel, Antoniego Tomkiewicza, Bronisława Weicha, Stanisława Wiśniowskiego i inż. Józefa Zbyszewskiego.

Termin następnego posiedzenia naznaczono na dzień 30. maja, godz. 5-ta popołudniu.

OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Dobrowolną daninę myśliwską w dalszym ciągu złożyli: Dr. Henryk Mikolasch 2.000, inż. Kazimierz Weiss 2.000, Karol Etterle 10.000, Jan Spyra 5.000, Adam Gorecki 7.000, inż. Bolesław Szurek 2,000, Zygmunt Kulczyński 2.000, Władysław Adamiak 5.000, Dr. Jan Opolski 2.000, Seweryn Złowodzki 1.000, Witołd Sławiński 2.000, Erazm hr. Korytowski 10.000, Jan Gołębski 5.000, Marjan Grabowski 1.000, Władysław Morasiewicz 1.000, Adolf Strihafka 1.000, Stanisław Grohal 1.000, Włodzimierz Wiland 5 000, inż. Czesław Dębowski 7.000, Władysław Wyszkowski 2.000, Ernest Anderle 2.000, Wilhelm Bajorek 1.000, Br. Künsberg 2.000, Henryk Rubinstein 5.000, Hugo Mossler 2.000, Władysław Czajkowski 25.000 Mkp., razem 110.000. Mkp.

Otrzymujemy często przekazami lub przez P K. O. zamówienia na prenumeraty przy równowczesnem nadesłaniu za nią pieniędzy, przyczem niektórzy zamawiający obliczają jeszcze obecnie przysłaną należytość za prenumeratę z I-go kwartału (względnie za zeszyty w tym kwartale wydane) według ceny prenumeraty lub zeszytów niegdyś ogłoszonej; prenumerata za I jak II kwartał wynosi po 9.000 Mkp. za każdy kwartał, czyli 18.000 Mkp. za czas od 1. stycznia po koniec czerwca b. r. Taksamo w razie późniejszego podniesienia prenumeraty, podwyżka ta zawsze dotyczyć będzie nietylko kwartału bieżącego, lecz także wszystkie wsteczne z r. b. Każdy zeszyt pojedyńczy z r. 1923 bez względu z którego on jest miesiąca, kosztuje obecnie 3.500 Mkp., a w przyszłości kosztować będzie tyle, ile zawsze w najświeższem numerze „Łowca“ ogłoszonem zostanie. Roczniki „Łowca“ za lata 1915, 1916, 1916 i 1918 sprzedajemy według cen ogłaszanych w naszym własnym anonsie. Kompletnych roczników za lata 1914, 1921, 1922 nie mamy już do odstąpienia, a odstępujemy tylko zeszyty pojedyńcze, również według cen podanych w anonsie.

Zwracamy uwagę **członków M. T. Ł.**, że następny numer „Łowca“ prześlemy tylko tym, którzy uiścili wkładkę za II-gi kwartał — 8.000 Mkp. wynoszącą. Restanci otrzymają go później, ale za pobraniem pocztowem, przyczem ściągniemy też wkładkę za III-ci kwartał, w wysokości, jaką ustali Walne Zgromadzenie.

Książki „Na tropach“ Wład. Spausty już nie prowadzimy, chętnych kupna i przeczytania tego zajmującego dzieła, kierujemy niniejszem wprost do księgarni K. Gubrynowicza we Lwowie.

---

†

Zygmunt z Siemuszowy Pietruski

wybitny myśliwy, długoletni członek M. T. Ł.

urodzony w r. 1858, zmarł we Lwowie dnia 25. maja 1923 r.

Cześć Jego pamięci!

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.